

WSPANIAŁY POWRÓT DO ŚWIATA

SIEDMIU  SIÓSTR
LUCINDY RILEY

ORLANDO

HARRY
WHITTAKER

27 STYCZNIA 2027

OKŁADKA W PRZYGOTOWANIU

ALBATROS

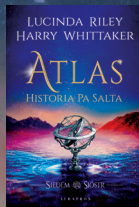
JAK POTOCZĄ SIĘ DALSZE LOSY BOHATERÓW „SIEDMIU SIÓSTR”?

Orlando, ekscentryczny księgarz, który pojawił się w „Siostrze Cienia”, i **Star D’Aplièse** odkrywają na starej plebanii kolekcję rękopisów. Jeszcze nie wiedzą, że intryga, w którą zostają wplątani, na zawsze odmieni ich życie.

To historia o miłości, książkach i cichych buntownikach, którzy zmieniają oblicze literatury.

PRZECZYTAJ FRAGMENT „ORLANDA”
PRZED PREMIERĄ!

SERIA „SIEDEM SIÓSTR”:



WYDAWNICTWO
ALBATROS

wydawnictwoalbatros.com

FRAGMENT PROMOCYJNY
NIEPRZEZNACZONY
DO SPRZEDAŻY

ORLANDO
HARRY
WHITTAKER

Z ANGIELSKIEGO RZEŁOŻYŁA
ANNA ESDEN-TEMPSKA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
ORLANDO

Copyright © Harry Whittaker 2026
Polish translation copyright © Anna Esden Tempska 2027

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

FRAGMENT PROMOCYJNY NIEPRZEZNACZONY DO SPRZEDAŻY

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



**WYDAWNICTWO
ALBATROS**

Rozdział pierwszy

Orlando

Tenterden, Kent, Anglia

Rok 2009, Boże Narodzenie

Dzwonek nad drzwiami mnie zaskoczył. Właśnie zamykałem na tydzień sklep – miałem go otworzyć dopiero po Nowym Roku. Musiałem ustawić kapryśny termostaat na właściwą temperaturę, czym rzadko się zajmowałem. Po co, na Boga, zawracać sobie głowę technologią, skoro przez wieki ludzie dawali sobie bez niej radę, paląc w piecu? Spędzałem tu całe dni i zawsze dbałem o to, żeby kubel na węgiel był pełny.

Kiedy klient wchodzi do księgarni z rzadkimi starymi egzemplarzami, spodziewa się nostalgicznej atmosfery. Starałem się ją stworzyć w O. Forbes / Białe Kruki, tak by klienci odnosili wrażenie, że oto otwiera się przed nimi kufer ze skarbami. Na półkach przy ścianach stoją sfatygowane książki; ich podniszczzone grzbiety były dotykane przez pokolenia chętnych rąk. Niektóre tomy wystawiam w zorganizowanym nieładzie na blatach drewnianych stołów, a najcenniejsze znajdują się w oszklonych regałach. Klienci muszą poprosić o klucz i moją asystę, by zobaczyć zawartość.

Na tyłach księgarni są wąskie, kręte schodki, po których można wejść na galerijkę, gdzie perski dywan tłumi dźwięk kroków, a popołudniowe słońce oświetla rzędy oprawnych w skórę klasyków. To moje sanktuarium, miejsce, w którym można mnie zastać za ciężkim kontuarem z drewna orzechowego, kiedy kataloguję książki z pełnym powagi oddaniem kuratora opiekującego się pamiątkami z przeszłości.

Nie wszystkie swoje skarby wystawiam na sprzedaż. Niektóre są schowane, owinięte w pergamin i opisane przeze mnie wykaligrafowanymi literami. Część kryje stare sekrety rodzinne, inne – nigdy niewysłane listy. Skrupulatnie strzegę tych tekstów, bo to nie tylko słowa. To prawdziwe tchnienie przeszłości.

Mam jednak rachunki do opłacenia, muszę więc sprzedawać jak najwięcej książek. Na szczęście księgarnia znajduje się przy ruchliwej ulicy, pod spadzistym okapem starego wiktoriańskiego domu. Przez okna z cienkich szybek widać moje skarby.

Kiedyś byłem o nie zazdrosny. Dawniej O. Forbes / Białe Kruki było skutecznym sposobem na korzystne podatkowo gromadzenie imponującej prywatnej biblioteki. Za każdym razem, gdy byłem zmuszony do sprzedaży, krzywiłem się wewnątrz i zastanawiałem, czy kupujący jest wart posiadania tak wyjątkowego okazu. Och, ta arogancja młodości.

Ale moje podejście się zmieniło – głównie dzięki Star D’Apliese. Zatrudnienie jej było jedną z moich najlepszych decyzji. Nie tylko jest świetna jako menedżerka księgarni, ale też wzięła na siebie o wiele trudniejsze zadanie: związek z moim gburowatym starszym bratem, Mouse’em. Nie mam pojęcia, co ta dziewczyna w nim widzi, lecz jej cierpliwość i wdzięk niewątpliwie sprawiły, że Mouse stał się lepszym człowiekiem.

Star pomogła mi także odkryć radość wynikającą z tego, że książki trafia do nowego właściciela. Już nie przewracam oczami, kiedy słyszę, jak klient prosi o pomoc, ani nie próbuję onieśmielić go literackim bełkotem, gdy o coś pyta. Krótko mówiąc, mogę teraz z dumą stwierdzić, że Orlando Forbes naprawdę lubi sprzedawać książki.

Mimo to teraz z ociąganiem zawieszałem swoją działalność na siedem dni. Star uparła się, żebym Boże Narodzenie spędził z rodziną w High Weald. Choć zwykle o tej porze roku wolę własne towarzystwo – bo to idealny czas na poważniejszą lekturę – to ceremonia upamiętniająca adopcyjnego ojca Star, Atlasa Tanita, która odbyła się w lecie tego roku, uświadomiła mi, jak ważna jest dla człowieka rodzina. Zresztą Star i tak nie pozwoliłaby, żebym spędzał święta samotnie.

Musiałem więc jakoś sobie poradzić z tym cholernym termostatem, ponieważ nie ma nic gorszego dla zdrowia książek niż wilgoć. Zimą trzeba je chronić przed groźną „żółtaczką papieru”. Jeśli wilgoć jest zbyt duża, strony antykwarycznych egzemplarzy mogą zostać zainfekowane żółtawobrazowymi plamami, a to wpływa na ich wartość i czuję się tak, jakbym zawiódł je w roli opiekuna. Byłem tak zaaferowany ustawianiem termostatu, że gdy zabrzączał dzwonek nad drzwiami, aż podskoczyłem.

– Witam – usłyszałem. – Przepraszam, że pana wystraszyłem. Jest otwarte?

Mężczyzna był wysoki; robił wrażenie. Padało na niego światło z latarni ulicznej i jego cień rozciągał się w głąb sklepu.

– Nie ma za co, mój drogi – odparłem, odzyskując panowanie nad sobą. – Jest... – Spojrzałem na zegarek; właśnie minęła siódma. – Nie zamknąłem drzwi, więc jest czynne. Tyle że jestem sam. Menedżerka księgarni już wyjechała do domu na Boże Narodzenie.

Odsunąłem się od termostatu i podszedłem do nieznajomego. Długi płaszcz omiatał mu wysokie buty; rondo filcowego kapelusza zasłaniało prawie całą twarz. Mój wzrok przyciągnęła mała, czerwona szpilka na klapie, która lśniła w świetle – wyglądała trochę jak kwiat.

– Ma pan szczęście, że udało się panu mnie jeszcze zastać – dodałem. – Zaraz zamykam i księgarnia będzie otwarta dopiero po Nowym Roku. No to... – klasnąłem teatralnie w ręce – w czym mogę pomóc?

Mężczyzna zrobił krok i zamknął za sobą częściowo przeszkłone drewniane drzwi.

– Gwiazdkowy prezent w ostatniej chwili? – spytałem. – W tej sprawie na pewno mogę pomóc. – Wyprostowałem się. Powinienem zrobić wrażenie na kliencie, jeśli chciałem zarobić. – Proszę mi o niej opowiedzieć.

Przechylił głowę.

– Słucham?

– Co ona lubi? Czy ucieszy ją jakaś ciekawostka literacka, którą robi pan na niej wrażenie? – Wskazałem na regał po lewej stronie. – Jeśli lubi poezję, mogę polecić pierwsze wydanie zbioru *Żdźbła trawy* Walta Whitmana.

Nieznajomy nawet się nie poruszył.

– Whitman uzupełniał ten zbiór, więc za jego życia nie było dwóch identycznych wydań.

– Hm...

Uniosłem uspokajająco ręce.

– Tak myślałem. To byłoby zbyt sentymentalne, jeśli ta osoba lubi lekkie lektury. W takim razie – westchnąłem, być może nieco protekcyjnie – wskażę panu ten mały stół z prezentami gwiazdkowymi. – Podszedłem do ekspozycji, którą przygotowałem specjalnie z myślą o Bożym Narodzeniu. – Mamy tu pierwsze wydanie *Bałwanka* Raymonda Briggsa. Urocze. Mogę opuścić cenę do siedemdziesięciu funtów. – Obejrzałem się na nieznajomego. Wciąż stał przy drzwiach, dałem mu więc znak, żeby podszedł. – Proszę zobaczyć. Jest też egzemplarz *Alicji w Krainie Czarów* z wydania z okazji trzydziestej rocznicy opublikowania tej książki. A może osoba, którą chce pan obdarować, wołałaby dzieła zebrane Szekspira? W dwóch tomach, wydanie Folio Society z okładkami w czerwonej skórze.

Odpowiedziała mi cisza.

– Wyglądałyby pięknie na półce pana partnerki.

Zmieszany, przestępował z nogi na nogę.

– Nie mam partnerki tak naprawdę – odezwał się w końcu.

Gdybym był pawiem, ze wstydu złożyłbym ogon.

– Och, przepraszam. Uznałem, że przyszedł pan w ostatniej chwili po prezent. – Wzruszyłem ramionami. – Przez większość dnia miałem właśnie takich klientów. Za dużo mówię. Szuka pan czegoś szczególnego?

Skinął głową.

– Cudownie! – rzuciłem. – Takie książki lubię najbardziej. Czego pan szuka?

Mężczyzna zwlekał chwilę, zanim odpowiedział:

– *Opowieści wigilijnej*. Pierwszego wydania.

Uniosłem brwi.

– To dla mnie wyzwanie. – Zrobiłem w myślach inwentaryzację. – Na pewno nie mam obecnie takiego egzemplarza. I nie potrafię powiedzieć, kiedy ostatnio widziałem, żeby pojawił się na aukcji.

– Ja też. – Mężczyzna ostrożnie zdjął kapelusz, ukazując potargane srebrzyste, gęste włosy.

Opuściłem wzrok na jego twarz. Policzki miał zapadnięte, skórę ogorzałą, jakby erodowała na wietrze, i ciemne oczy z pewnym siebie spojrzeniem.

– Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym usiadł? – spytał, ocierając czoło. – Dość długo siedłem.

– Ależ oczywiście, proszę, mój drogi. – Złapałem jeden z wyściełanych żółtym aksamitem foteli przeznaczonych dla klientów i podsunąłem mu.

– Dziękuję.

Zatopił się w nim z wdzięcznością.

– Nie ma za co. Mogę zaproponować coś do picia? Wodę? Herbatę?

Jego oczy zabłyśły.

– Jeśli nie byłoby to dla pana zbyt dużą fatygą, z wielką przyjemnością napiłbym się czegoś ciepłego.

– Może to nie będzie gorące jak lawa, ale w dzbanku zostało jeszcze trochę earl greya. Mleka, cukru?

– Odrobinka mleka i dwie kostki cukru, jeżeli to nie kłopot.

– Oczywiście, że nie.

Poszedłem szybko do małej kuchenki na tyłach sklepu. Jeszcze raz sprawdziłem godzinę na zegarku. Brat wyraźnie nakazał mi nie spóźnić się na kolację o wpół do ósmej. Podobno Star spędziła całe popołudnie, przygotowując szynkę duszoną w piwie imbirowym, którą, jak mnie poinstruował, miałem chwalić przy każdym kęsie.

Ale wizyta tajemniczego nieznanego w wigilijny wieczór... Jak mogłem oprzeć się pokusie rozmowy? Wróciłem na front sklepu z letnim kubkiem w dłoni.

Mężczyzna sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego – opierał głowę na zaciśniętej w pięść dłoni.

– Proszę bardzo – powiedziałem, podając mu herbatę. – Przesadził pan trochę ze świąteczną gonitwą? Wygląda pan na wyczerpanego.

– O... przepraszam. Spieszyłem się, by tu dotrzeć.

Wypił kilka sporych łyków. Mogłem sobie wyobrazić, jak ciepły napój wnika do jego ciała i ogrzewa każdą jego cząstkę.

– Dziękuję za herbatę.

– Nie ma za co. – Przyciągnąłem drugi fotel, usiadłem i klepnałem się po kolanach. – Nie przedstawiłem się... Jestem Orlando. Orlando Forbes.

– Wiem.

Przyznam, że mnie zatkało.

– O, naprawdę? Czy jestem już aż tak sławny?

Zaśmiał się.

– Pana nazwisko jest nad drzwiami.

– A tak. – To była prawda. Większość dorosłego życia spędziłem, prowadząc Księgarnię Arthura Morstona w Londynie, a O. Forbes / Białe Kruki było stosunkowo nowym przedsięwzięciem.

– Nabieram pana. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Mówiono mi, że potrafi pan zdobyć to, czego szukam.

– O! Kto to powiedział?

Nieznajomy spuścił wzrok.

– Co pan wie o naprawdę pierwszym wydaniu *Opowieści wigilijnej*?

Odchyliłem się na oparcie fotela, złączyłem palce dłoni i zagłębiłem się w zakamarki swojej wiedzy literackiej.

– Wydawcą był Chapman and Hall – zacząłem. – Tego jestem pewny. – Mężczyzna był najwyraźniej zadowolony z odpowiedzi, więc dodałem: – Oprawa była czerwona.

– Czerwonobrazowa – uściślił.

– No tak, czerwonobrazowa, ze złotymi zdobieniami.

Wychylił się w moją stronę, czekając na więcej. Nie doczekał się, więc spytał:

– Czy wie pan, co naprawdę odróżnia pierwsze wydanie od pozostałych?

Zmarszczyłem czoło; nie chciałem przyznać się do porażki.

– Drzeworyty w tekście wokół ilustracji – odparłem. – Nie, to głupie z mojej strony – dorzuciłem szybko. Były nie tylko w pierwszym wydaniu.

Mój gość skinął głową.

– Chodzi pewnie o stronę tytułową – powiedziałem.

Uniósł brew.

– A może o wyklejkę? – zaryzykowałem.

– No właśnie.

Rzadko bywałem sprowadzony do roli ucznia w dziedzinie bibliofilstwa. Ten człowiek prawdopodobnie interesował się dogłębnie dziełami Dickensa.

– Przykro mi, ale bez bliższych badań nie potrafię powiedzieć, co dokładnie w wyklejkach świadczy o tym, że dany egzemplarz *Opowieści wigilijnej* pochodzi z pierwszego wydania – przyznałem się. – Będzie pan musiał oświecić mnie w tej kwestii.

Mężczyzna dokończył herbatę.

– Kolor – oznajmił. – Książki z pierwszego wydania miały zielone wyklejki. Ale pewnie została ich ledwie garstka.

– Garstka... czyli ile egzemplarzy?

Wzruszył ramionami.

– Cztery, pięć?

Zrobiłem wielkie oczy.

– Dobry Boże – szepnąłem.

– Każde następne wydanie miało żółte wyklejki.

Podrapałem się w głowę.

– Zadziwiające, że nic o tym nie wiedziałem.

Po jego ustach przemknął lekki uśmiech.

– Bardzo niewiele osób o tym wie.

– Rozumiem. – To zdecydowanie będzie spore wyzwanie, pomyślałem. – Jest pan absolutnie pewny, że egzemplarz, który chce pan mieć, ma zielone wyklejki? To nie będzie proste, jak się obawiam. Gdyby mógł pan zadowolić się pierwszym wydaniem, które nie było całkiem pierwsze, pewnie byłbym w stanie znaleźć książkę stosunkowo szybko.

– Nie. – Mężczyzna zacisnął usta i pokręcił głową. – To musi być najpierwsze wydanie. Zielone wyklejki. Inne mnie nie interesują.

Był zdecydowany. Skalkulowałem to w myślach i powiedziałem:

– Zorientuję się w sytuacji. Zakładam, że zdaje pan sobie sprawę, że to nie będzie tanie. Może kosztować około pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Westchnął.

– Tak myślałem.

Widząc jego zgnębiony wyraz twarzy, uznałem, że przekonam go do innych, bardziej dostępnych, opcji.

– Może mógłbym znaleźć jakiś inny piękny egzemplarz, który by pana zadowolił...

Uniósł rękę, żeby mi przerwać.

– Nie. To musi być pierwsze wydanie. Które wyszło z drukarni w grudniu tysiąc osiemset czterdziestego trzeciego roku.

– Mogę zapytać, z jakiego powodu ma to dla pana aż takie znaczenie?

W jego twarzy o ostrych rysach malowała się troska.

– Dlaczego pan przyjmuje, że tak jest? – rzucił szorstko.

Rozładowałem dziwne napięcie śmiechem.

– Muszę panu przypominać, że wpadł pan do mojej księgarni o tej porze w Wigilię i niemal padł na fotel z wyczerpania? Nie potrzeba zdolności detektywistycznych Sherlocka Holmesa, by zorientować się, że ta książka musi mieć dla pana wyjątkowe znaczenie. – Patrzyłem w oczy tego tajemniczego człowieka, rozpaczliwie starając się wydobyć z niego odpowiedź.

– Czy musi być jakiś powód? – zapytał.

Nachyliłem się, opierając łokcie na kolanach.

– Pracuję w tej branży na tyle długo, by wiedzieć, że zawsze jest jakiś powód, by pragnąć tego, a nie innego egzemplarza. Albo chodzi o pasję kolekcjonera, albo w czymś życiu jakaś książka odegrała szczególną rolę i człowiek pragnie ją mieć w najczystszej, najbardziej autentycznej postaci.

Gość mierzył mnie przez chwilę wzrokiem.

– No dobrze. Ta historia jest ważna dla mojej rodziny.

Najwyraźniej więcej nie zamierzał ujawnić.

– W takim razie zwrócił się pan do właściwej osoby. Będę szukał jak pies tropiący, aż znajdę – obiecałem.

– Mam nadzieję.

Siedzieliśmy w milczeniu, które zaczynało mi już trochę ciążyć. Spojrzałem na zegarek. Siódma trzydzieści.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Ale teraz naprawdę muszę już pędzić. Jestem zaproszony na kolację wigilijną.

Na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju. Sprawiał wrażenie szczeniaczka porzuconego na śniegu.

– Proszę się nie martwić. Zapiszę pana dane i będziemy w kontakcie, kiedy zacznę poszukiwania – zapewniłem go. Zerwałem się na nogi i poszedłem po oprawiony w skórę notatnik leżący za dębowym kontuarem. – Chyba nie dosłyszałem pana nazwiska.

Mężczyzna wstał.

– Topper. Fred Topper.

Wpatrywałem się w niego przez chwilę.

– Miło mi było poznać, panie Topper. Jak najlepiej się z panem kontaktować? Ja wolę dzwonić, niż pisać esemesy czy maile. Czy to panu pasuje?

Mężczyzna zawahał się.

– Nie mam telefonu – odparł.

– No to skontaktuję się z panem mailowo. Jaki ma pan adres?

Pokręcił głową.

– Komputera też nie mam.

– Drogi panie, jest pan poza systemem komunikacji, można powiedzieć. Zazdroszczę. W takim razie poproszę o adres pocztowy. Będę pana informować listownie o postępach w poszukiwaniach.

Fred Topper był zażenowany.

– Tak naprawdę rzadko bywam w domu, więc to by się chyba nie sprawdziło.

Zamknąłem notes, ale uśmiechnąłem się do niego miło, żeby go uspokoić.

– Wie pan, gdzie mnie znaleźć – powiedziałem.

Wyrażnie poczuł ulgę.

– No właśnie. Wróć tu. – Popatrzył na mnie błagalnie. – Zrobi pan, co w pana mocy, by znaleźć ten egzemplarz, prawda? To dla mnie ogromnie ważne.

Skinąłem głową i spojrzałem na niego uważnie.

– Tak. Pod warunkiem że da mi pan słowo, że tu wróci. Jeśli znajdę tę książkę, będę musiał ją najpierw kupić, a to będzie wielkim wydatkiem. – Skrzyżowałem ręce na piersi. – Zwykle nie przyjmuję zamówień od obcych, nie mając ich danych kontaktowych.

Niegrabnie przestępował z nogi na nogę.

– Ale to Wigilia – dodałem. – A pan złapał mnie na koniec niezwykłych paru lat. – Wzniosłem oczy do nieba. – Jeśli nauczyły mnie czegoś, to tego, że kiedy ktoś potrzebuje pomocy, trzeba mu jej udzielić, w dobrej wierze.

Topper podszedł do mnie i podał mi dłoń.

– Wróć. Przysięgam.

– Świetnie. Zacznę szukać w styczniu.

Uśmiechnął się blade, opatulił płaszczem i ruszył do drzwi.

– Nie powiedział mi pan, kto mnie polecił! – zawołałem za nim.

Trzymając klamkę, obejrzał się powoli.

– Po prostu... nasz wspólny przyjaciel. – Mrugnął i wyszedł tak nagle, jak się pojawił.

– Wesołych świąt, Fredzie Topper – mruknąłem pod nosem.

Wybiegłem zza kontuaru na tyły sklepu, gdzie miałem całą ścianę pomarańczowych popularnych wydań klasyki, od lat czterdziestych do pięćdziesiątych zeszłego wieku. Przesunąłem palcem po trzeciej półce od góry. Dante, Defoe... Dickens!

Star poukładała autorów i tytuły w porządku alfabetycznym. Na jednej z półek stało kilka sfatygowanych, ale ukochanych egzemplarzy *Opowieści wigilijnej*. Sięgnąłem po jeden z nich i zacząłem kartkować.

– Zaraz – mruknąłem. – Jestem pewien... – Wkrótce znalazłem to, czego szukałem. – No tak!

I było. Czarno na białym. W trzeciej *Strofce*, jak Dickens nazwał rozdziały.

– *Hm, rad jestem, że tak mówicie – rzekł siostrzeniec Scrooge’a – ponieważ ja osobiście niewiele mam zaufania do takich świeżo upieczonych gospodyń. A co ty o tym myślisz, Topper?*

*Otóż Topperowi wpadła najwyraźniej w oko jedna z sióstr żony siostrzeńca Scrooge’a, odparł bowiem, że mężczyzna nieżonaty jest nieszczęsnym wyrzutkiem w społeczeństwie, który to wyrzutek nie ma prawa wydawać sądów w tej materii. Co usłyszawszy, owa siostra żony Freda...**

Topper i Fred, coś takiego! Wyszedłem na idiotę w rozmowie z nieznanym. Teraz wszystko się zgadzało. To jego wejście w ostatniej chwili, dziwne zamówienie, polecenie przez „wspólnego znajomego”... nie wspominając o imieniu i nazwisku.

– To cudowne – szepnąłem.

Prawdę mówiąc, ostatnio, po odkryciu tajemnic Atlasa Tanita, życie stało się nieco nudne. Brakowało mi zagadek, zawołowanych prawd... przygody. Sprzedawanie książek to jedno. Ale znalezienie się w historii wyrastającej z fikcji literackiej to całkiem coś innego.

Więc, choć było to ryzykowne, zamierzałem spróbować znaleźć egzemplarz z pierwszego wydania *Opowieści wigilijnej*. Jeśli mi się uda, dowiem się, dlaczego „Fred Topper” tak bardzo go pragnął.

Usiadłem w swoim miękkim fotelu i zacząłem się zastanawiać, kto mógł mu mnie polecić i dlaczego nie chciał tego zdradzić.

Moje rozważania przerwał przenikliwy dzwonek telefonu. Oklepując się dłońmi w poszukiwaniu tego diabelskiego urządzenia, zlokalizowałem je w kieszeni na piersi kamizelki.

– Orlando Forbes. Z kim mówię?

– Z tysiąc razy już ci powtarzałem, że jak popatrzysz na ekran, zanim odbierzesz, zobaczysz, że dzwoni twój brat, i nie będziemy musieli zaczynać każdej rozmowy od tego idiotycznego wstępu.

Odetchnąłem.

* Karol Dickens, *Opowieść wigilijna*, przełożyła Krystyna Tarnowska.

– O, cześć, Mouse. Jak leci?
– Jesteś już dziesięć minut spóźniony. Umówiliśmy się na wpół do ósmej.

– Och, daj spokój. – Sprawdziłem na zegarku i rzeczywiście była już za dwadzieścia ósma. – Naprawdę starałem się być na czas. A nawet z wyprzedzeniem, słowo daję.

Mouse westchnął ciężko.

– Na szczęście założyliśmy, że się spóźnisz, i szynka będzie gotowa o ósmej. Mam nadzieję, że uda się nam odciągnąć cię od twoich drogich przyjaciół do tej pory... mam na myśli książki.

– Oczywiście. Już wychodzę. – Zerwałem się i sięgnąłem po edwardiański surdut i kapelusz. – Właśnie miałem fascynującą przygodę, drogi bracie. Wpadł do mnie bardzo dziwny człowiek i...

– Tak, tak... Opowiesz mi wszystko przy kolacji.

Usłyszałem pisk bratanka i podniecone głosy w tle.

– I na pewno nie muszę ci przypominać, żebyś nie gadał żadnych bzdur przy Rorym – dodał Mouse. – Święty Mikołaj jest bardzo prawdziwy, dziś wieczorem odwiedzi High Weald i objężdża wszystkie dzieci na świecie, bo on i jego elfy potrafią zatrzymać czas. W porządku?

Choć nie mógł mnie zobaczyć, zsalutowałem mu.

– Wspaniale. Fizyka i magia świat. Zrozumiano.

– Do zobaczenia za kwadrans. Cześć.

– Czekaaj, czekaaj! – zawołałem. – Chciałem zamówić taksówkę po południu, ale dzień mi przeleciał między palcami. Mógłbyś poprosić swoją cudowną żonę, żeby po mnie wpadła?

– Na litość boską, Orlando.

Usłyszałem kolejny stłumiony głos. Delikatny i niezbyt wyraźny.

– W czym problem? – spytała Star.

– Orlando chce, żeby po niego przyjechać.

Złość Mouse'a skwitował lekki śmiech Star.

– A czego się spodziewałeś? To jak prosić Rory'ego, żeby się zorganizował. Nie martw się, Orlando! Już jadę. Czekaaj przed sklepem.

– Dziękuję, najdroższa Asterope! Ja... – Zanim zdołałem coś wydukać, połączenie zostało przerwane.

Wciągnąłem skórzane rękawiczki, złapałem neseser zza biurka, wyłączyłem światło i pospiesznie wyszedłem.

Rozdział drugi

Posiadłość High Weald należała do mojej rodziny od niezliczonych pokoleń. Była całkiem imponująca. Należące do niej ziemie z szachownicą pól i lasów ciągnęły się daleko przez łagodne wzgórza Kentu.

Osiemnaście miesięcy temu mój brat odziedziczył wielki dom w centrum posiadłości. Od tego czasu wiele zrobiono, by odrestaurować budynek, choć gołym okiem trudno było to zobaczyć. Mouse często narzekał, że trzeba wymienić instalacje elektryczne i wodno-kanalizacyjne, uzupełnić spoinowanie i zrobić wiele innych rzeczy.

Naprawa nawierzchni na pełnym dziur podjeździe najwyraźniej znalazła się na dalekim końcu listy. Starzejący się Land Rover Defender, którym wiozła mnie Star, mógł cieszyć oko, ale pośladki cierpiały.

– Nie mogłabyś przynajmniej starać się trochę omijać te krater-y? – spytałem.

– Robię, co w mojej mocy – odparła, uśmiechając się z trochę diabelskim błyskiem w oku. – Może należy ci się mały rewanż za to, że wywlokłeś mnie z domu o tej porze w Wigilię.

Defender wpadł w dziurę i zatrzęsł się z siłą Apollo 11 wchodzącego w atmosferę ziemską. Neseser, który usiłowałem utrzymać na kolanach, o mało nie uderzył w sufit.

Na szczęście miałem zapięte pasy. Jestem tak wysoki, że głową niemal dotykałem podsufitki, a mój brat nie byłby zadowolony, gdybym zjawił się na Wigilii ze wstrząśnieniem mózgu.

Po kilku minutach jazdy wyboistą drogą zatrzymaliśmy się przed główną rezydencją. Widok pokrytych patyną ceglanych murów High Weald zawsze działał kojąco, a Star udekorowała dom na święta. Gołe gałązki wisterii wokół okien i cisy przy wejściu były przystrojone sznurami migających lampek.

– Staruszek wygląda cudownie – pochwaliłem bratową. – Jak bombonierka.

– Trzymałam Mouse’a na drabinie trzy godziny, żeby porozwiejszać te światełka. Wyobrażasz sobie, jaki był zachwycony? – Star zachichotała.

Wysiedliśmy z Land Rovera i ruszyliśmy do drzwi, na których wisiał wieniec, skomponowany trochę byle jak. Wskazała go głową, zanim nacisnęła klamkę.

– Rory bardzo się postarał.

– O, dzięki Bogu. Myślałem, że powiesz, że to dzieło mojego brata.

– Bez złośliwości, Orlando – zagrzmiął głos Mouse’a z holu. – To Boże Narodzenie, czas dobroci dla wszystkich ludzi na świecie.

Starszy brat wyszedł mi naprzeciw. Jego surowe rysy twarzy, utrwalone nieustannym ściągnięciem brwi, zdecydowanie złagodniały, odkąd w jego życie wkroczyła Star.

– Dobroci? No tak – rzuciłem. – Przywożę dobre myśli do High Weald!

Jak zwykle popatrzył na mnie, lekko unosząc brew.

– Jaki interesujący sweter – skomentowałem jego idiotyczny strój. Gwiazdki śniegu, pingwiny i niedźwiedzie polarne walczyły o miejsce na jego piersi.

– Dzięki za podpowiedź co do obecnej mody. Cenna uwaga od kogoś, kto jest ubrany jak statysta grający w adaptacji BBC *Wielkich nadziei*.

Zanim zdołałem odpalić dowcipną ripostę, do holu wtoczył się z prędkością pociągu szybkobieżnego mój bratanek w szlafroku.

– Lando! – zawołał Rory, który rósł jak na drożdżach.

– Cześć, stary, wesołych świąt! – powiedziałem i pokazałem to na migi, po czym podniosłem go i okręciłem dookoła.

Rory był niesłyszący, ale świetnie sobie radził w codziennym życiu. Terapeutka zdziałała cuda, ucząc go czytania z ruchu warg i zachęcając, by odnalazł swój głos. Czasami mówił, czasami migał, zawsze jednak porozumiewał się z radością pokrzepiającą mi serce.

– Możemy odpakować prezent? – zapytał, jednocześnie migając.

– Oczywiście. Jaki sens odwlekać przyjemność?!

Mouse podparł się pod boki.

– Kazaliśmy mu czekać do jutra, Orlando.

– O, daj spokój, Mouse – zainteresowała Star, patrząc na niego surowo. – Rory może otworzyć prezent od wujka.

– No dobrze. Ale tylko jeden – zgodził się Mouse, uśmiechając się z przymusem.

Cieszyłem się, że Star nad nim panuje.

– Ale najpierw – klasnęła w dłonie – kolacja!

*

Po pysznej uczcie przeszliśmy do odnowionego salonu High Weald. Ściany do połowy wyłożono drewnianymi panelami poma-

lowanymi na ładny odcień granatu, pasującego do łagodnej szarości biegnącej aż do sufitu w kolorze złamanej bieli. Eleganckie, kremowe zasłony tylko częściowo zasłaniały okna, tak żeby było widać oszronione szyby. W wielkim pokoju stały naprzeciw siebie dwie obite miękkim materiałem kanapy. W kominku huczał ogień; zastanawiałem się, czy stojące przy nim skórzanе fotele nie są za gorące, by na nich usiąść. Na wszelki wypadek zdecydowałem się na kanapę. Rory zostawił swoją babeczkę z bakalią i szklanę mleka przy palenisku, po czym zajął miejsce koło mnie.

Mouse podał mi whisky i usiadł naprzeciwko nas, przy Star.

– To Macallan z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku – oznajmił. – Przyniosłem z piwnicy butelkę z kolekcji wujka Archiego.

– Mój Boże, co za zaszczyt. – Powąchałem. Nozdrza wypełnił mi bogaty, dymny, ziemisty aromat. – A skoro o tym mowa, to myślę, że dawni mieszkańcy High Weald byliby bardzo dumni z tego, co robisz z domem. Wygląda naprawdę fantastycznie. Na zdrowie! – Uniosłem szklanę i upiłem łyk.

– Święte słowa – zgodził się Mouse, po czym wychylił zawartość swojej jednym haustem.

Poczułem, że Rory delikatnie pociąga za brzeg mojej kamizelki.

– Lando, mogę już odpakować twój prezent? – Popatrzył na mnie z nadzieją zielonymi oczami.

– Jeśli Star się zgodzi, to jak najbardziej, stary.

Skinęła głową.

– Moja torba jest jeszcze w holu – zwróciłem się do chłopca. – Pogrzeb w niej. Prezent dla ciebie jest zapakowany w szary papier.

Rory zeskoczył z kanapy, wybiegł z salonu i wrócił błyskawicznie.

– O rany, aleś ty szybki! – zamigałem.

Spojrzał błagalnie na rodziców. Star zamigała.

– Dalej, rozpakuj.

Chłopiec rozdarł papier – zwykle zarezerwowany do wysyłki zamówionych książek – i odkrył prezent: oprawioną na zamówienie w szafirową skórę, ulubiony kolor Rory’ego, książkę napisaną przez mojego przyjaciela ze Stanów Zjednoczonych. *Historie Rory’ego*.

– Ta książka ma w sobie małą niespodziankę. – Wyciągnąłem rękę. – Mogę?

Uśmiechnięty bratanek podał mi ją. Przyjrzałem się grzbietowi i zlokalizowałem mały przycisk na górze. Wcisnąłem go i litery na okładce zaczęły migotać.

Rory rozdziawił buzię ze zdziwienia i podekscytowany, złapał książkę.

– Ojej! Dziękuję, Lando!

- Cała przyjemność po mojej stronie, młodzieńcze.
- Dzięki, Orlando. Świetny pomysł – pochwalił mnie Mouse.
- Naprawdę śliczny. – Star uśmiechnęła się do mnie ciepło, po czym spojrzała na chłopca. – Święty Mikołaj niedługo opuści Francję i wyruszy nad Kanałem La Manche do Anglii. Myślę, że czas już, żebyśmy położyli cię spać, nie sądzisz?

Rory podniósł kciuki. Najwyraźniej rozumiał, że nie czas na żarty, kiedy w drodze jest Święty Mikołaj.

- Chcesz, żeby tata zaniósł cię na górę?

Chłopiec skinął głową, uściskał mnie, a potem Star.

- Chodź, stary. – Mouse podniósł go, stosując chwyt strażacki, co wywołało piski radości. Kiedy szedł z synem po schodach, podśpiewywał jakąś piosenkę o Świętym Mikołaju.

- Zdziałałaś cuda dla tej dwójki – powiedziałem, unosząc szklankę w stronę Star, a ona zrewanżowała się, podnosząc swój kieliszek z winem.

- Mouse miał wszystko, co jest potrzebne, by być cudownym ojcem. Potrzebował tylko... pozbierać się po tym, co stało się z Annie.

Star rozumiała te sprawy. Kiedy żona Mouse'a była w ciąży, zdiagnozowano u niej raka jajnika. Wiedząc, że to ich jedyna szansa na dziecko, odłożyła leczenie do czasu, aż na świecie pojawił się Rory. Umarła dwa miesiące po porodzie, a po jej śmierci mój brat kompletnie się załamał.

Star sprawiła, że wrócił do życia. Szczerze mówiąc, to przekonało mnie, że wszystko jest możliwe.